

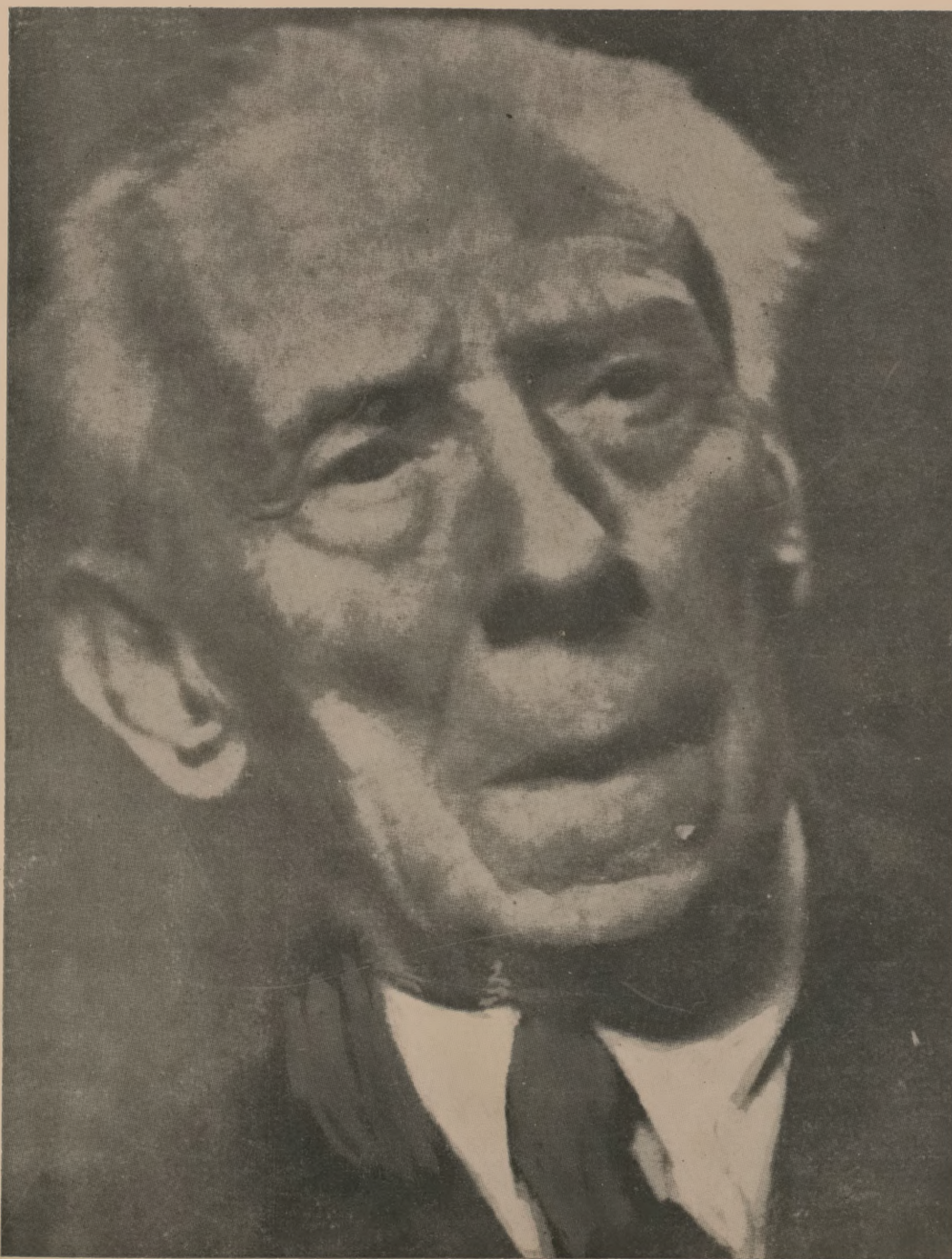
TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE
Jerzy Andrzejewski
Wiktor Budzyński
Marjan Hemar
Jan Szczawiej
Franciszek J. Wazeter
Jan Wolny
Michał Zoszczenko

Vol. 4. No. 43 (200)

Nowy Jork, 3 listopada — New York, N. Y., November 3, 1946

Cena 20 ct



Mimo ukończonych 90 lat, Ludwik Solski święci nowe tryumfy na scenie Teatru Polskiego w Warszawie

JAN WOLNY

Jeszcze raz granice zachodnie

Zamieszczając artykuł Jana Wolnego, redakcja idzie za zasadą, aby dawać głos wszystkim wybitnym pisarzom, stojącym na stanowisku niepodległościowem i broniącym swych poglądów przez poważne argumenty. Jan Wolny jest wśród nich jednym z najpierwszych i dlatego drukujemy jego pracę, która w wielu tezach stoi w sprzeczności z poglądami redakcji "Tygodnika Polskiego".

I.

W rok po Poczdamie, dosyć względny tytuł prawny polski do granicy na Odrze i Nissie został podważony przez mowę Byrnese w Sztutgarcie z 6 września, a w 10 dni potem podtrzymany przez oświadczenie Mołotowa wobec warszawskiej agencji prasowej. Akcji podważającej granicę należało się spodziewać, gdyż sprawy rozwijały się w tym kierunku; oświadczenie Mołotowa bynajmniej niekoniecznie leżało w programie sowieckim. W miesiąc po tej pierwszej rundzie obchodzących nas wypadków, gdy doszły nas ich echa krajowe i zagraniczne, reakcja Polaków i nie-Polaków, i kiedy sprawa zesłała z afisza conajmniej do końca listopada, kiedy rozpoczęła się w Nowym Yorku dyskusja nad traktatem pokojowym z Niemcami, a wobec tego i nad granicami Niemiec, jest dogodna pora, aby się zastanowić nad znaczeniem tego, co się stało. Tembardziej warto przemyśleć pozycję, powstałą w wyniku tej międzynarodowej dyskusji, że wnioski z niej, wyciągnięte przez pisarzy polskich po obu stronach barykady, nie wydają się nam kompletne, a nawet czasami zdają się pomijać istotę rzeczy.

Dla przeprowadzenia rozumowania, które mamy na widoku, konieczne jest zejście ze stanowiska, jakoby sprawa polska była centrum areny, na której spotkali się czołowi protagoniści dwóch antagonizujących i oddalających się światów. Bynajmniej tak nie było. Panom Byrniesowi i Mołotowowi chodziło o stawkę wielokrotnie dla nich ważniejszą: o Niemcy. Sprawa polska była tylko akcesorium tej stawki, tylko incydentalnym i dodatkowym tematem ich sporu. Obaż mieli na myśli nietyłe zachodnią granicę Polski, ile wschodnią Niemiec. Na mapie jest to ta sama linja — w rozumowaniu politycznym nabiera ona innego charakteru w zależności od tego, od której strony się na nią patrzy. Ponieważ Niemcy są większym obiektem politycznym od Polski, jak dla Zachodu, tak i dla Rosji, przeto w sporze Byrnes—Mołotow chodzi bardziej o to, kto i w jakich granicach będzie miał wpływ na Niemcy, niż o to, jakie granice ma mieć Polska.

Niemców jest trzy razy więcej niż Polaków, ale rola Niemiec w Europie

i na świecie była i będzie z biegiem czasu więcej niż trzy razy większa od roli Polski. Prędzej czy później wróca one na scenę polityczną Europy. Jeśli ktokolwiek wyobraża sobie, że będzie inaczej, ten nie umie myśleć. Dwukrotnie niewiele brakowało w ciągu jednego pokolenia, aby naród niemiecki niemal samopas nie podbił starego kontynentu. Trzeba było wysiłku koalicji całego świata, aby po długich zapasach dać rady żywotności, dynamizmowi, solidarności, wytrwałości, organizacji niemieckiej. Gdyby olbrzymie talenty i wartości niemieckie były skierowane w służbę pokoju, a nie zbrodni, świat byłby znacznie bogatszy i lepszy, niż dzisiaj. Jest dosyć pewne, że pomimo dwukrotnej klęski Niemcy nie zmienili swej psychiki; jest niemniej pewne, że ich fizyczne straty w ludziach i dobrach są tak wielkie, iż na długo, a może na zawsze, nie stać ich będzie na agresję przeciw światu. Ale w polityce cudzej mogą oni grać drugie skrzypce. W zależności od wypadków i okoliczności, mogą oni stać się albo pomocnikiem agresora, albo tamą, odgradzającą dwa światy, znajdujące się w stanie trwałego zawieszenia broni. Nikomu lepiej nie jest to wiadome, niż Rosji.

Koncepcja komunistów rosyjskich rewolucyjnej współpracy z Niemcami kielkowała na długo przed rewolucją sowiecką. Wyobrażali oni sobie, że rewolucja socjalna w Rosji i w Niemczech stworzyłaby tak niedoścignioną kombinację sił, iż przesądziłaby losy Europy, a może i świata. Po 1917 roku najlepsi agenci partyjni skierowani byli na wywołanie rewolucji w Niemczech. Raz w 1918-9, drugi raz w 1923, trzeci raz w 1933 roku Komintern miał zdanie, że była ona za progiem. Falszywa jego strategia w Niemczech przyczyniła się poważnie do upadku w Niemczech prądów demokratycznych i do dojścia do władzy Hitlera. Po kilkunastu latach polityki Rapallo, jeszcze w 1939 roku Stalin i Mołotow woleli kompromis z Hitlerem od współpracy z demokracjami, a napad niemiecki w dwa lata później był dla nich bolesną niespodzianką. Ta spekulacja na Niemcy była podczas wojny odstawiona na boczny tor, ale nie zaniechana. W artykule niniejszem niema miejsca na bliższą charakterystykę tej polityki,

która zresztą miała swoje przychyły i odpływy i bynajmniej nie była ekskluzywna. Niech jednak czytelnik weźmie za dowiedzione, że w oczach sowieckich przez wiele lat ideał zwiazania trwałem małżeństwem niemieckiej techniki i organizacji przemysłowej i wojennej z sowieckim kierownictwem politycznym i wojskowym, masą ludzką i surowcami, celem realizacji mocarstwowego i rewolucyjnego dążenia imperjum sowieckiego, t.j. opanowania świata, przeważał nad każdym innym. Nieprzerwana nić logiczna prowadziła od tej tezy, poprzez wywody Stalina z 1942 r. ("Hitlerowie mijają, ale naród i państwo niemieckie pozostają"), poprzez związek wojskowych niemieckich generała von Seydlitz, do mowy Mołotowa w lipcu, kiedy zapowiedział on, że Rosja będzie dążyć do utworzenia jednolitego państwa niemieckiego, które będzie bronić przed "rozeźlonkowaniem" i przed ustrojem federalnym. Widząc bezwład polityczny Zachodu, Kreml szedł na odbudowanie Niemiec zjednoczonych i ideologicznie postulowanych Rosji. Gdyby ten cel osiągnął, to z biegiem czasu cała Europa sama wpadłaby mu do worka.

Tymczasem amerykańska opinia publiczna nie miała sympatii, a władze w Waszyngtonie do niedawna nie miały żadnego zainteresowania dla Niemiec. Hitler do tego stopnia obrzydził Ameryce naród niemiecki, że uważa ona jego obecny los za zastruszone. Do niedawna Waszyngton nie myślał o możliwości, a tembardziej potrzebie posługiwania się w polityce kartą niemiecką. Plany tego rodzaju musiały być właściwe Anglikom, zarówno przed wojną, w okresie Monachjum, jak i teraz — ale nie Amerykanom. Potrzeba było długiego szeregu niespornych faktów, świadczących, że rząd sowiecki prowadzi w Niemczech aktywną politykę przeciw Zachodowi, aby Amerykanie, właściwie z niechęcią, zaczęli wychodzić z ich stanu inercji. Gdyby Moskwa lojalnie wykonywała umowę poczdamską, Ameryka nie próbowałaby interpretować jej na własny sposób. Ale gdy Moskwa, przez organizowanie partyjno-polityczne Niemiec po jednej stronie żelaznej kurtyny i propagandę po drugiej, oraz innymi drogami, dąży do zrobienia z Niemiec jeszcze jednego satelity, który ewentualnie może być

MICHAŁ ZOSZCZENKO

W poprzednim numerze "Tygodnika", Ryszard Wraga we wnikliwym artykule p. t. "Gdy małpa staje się symbolem rewolucji" odsłonił przyczyny i kulisy czystki, która objęła również i literaturę sowiecką. Ofiarą tej czystki padł m. inn. świetny pisarz Michał Zoszczenko. Najcieńszy zurzut: poniższe opowiadanie.

* * *

Pewne miasto — na południu — miało własny ogród zoologiczny.

Niewielki ogród zoologiczny, w którym znajdowały się: tygrysy, dwa krokodyle, trzy żmije, zebra, struś i jedna małpa, po prostu mówiąc, małpiszon. No i, rozumie się, różna drobnica — ptaszęta, rybki, żabki i inny nieważny drobiazg z dziedziny świata zwierzęcego.

Na początku wojny gdy faszyci bombardowali to miasto, bomba trafiła wprost do ogrodu zoologicznego. I tam wybuchła z ogromnym ogłuszającym hałasem ku zdziwieniu wszystkich zwierząt.

Zginęły wtedy trzy żmije — wszystkie jednocześnie, co samo przez się nie było wydarzeniem wiekopomnym. I, niestety, zginął struś.

Inne zwierzęta natomiast, nie ucierpiały. I, jak to się mówi, skończyły się tylko na strachu.

Ze wszystkich zwierząt najbardziej przerażona się małpa-malpiszon. Pęd powietrza wyrzucił jej klatkę. Klatki spadła ze swej podstawki. Boczna ścianka pękła. I oto nasza małpa wypadła z klatki wprost na ścieżkę ogrodu.

Wpadła ona na ścieżkę, lecz nie przywarła do ziemi nieruchoma, jak to czynią ludzie doświadczeni, jeżeli chodzi o działania wojenne. Wprost przeciwnie. Odrazu wdrapała się na drzewo. Stamtąd skoczyła na ogrodzenie. A z ogrodzenia na ulicę. I, jak szalona, napędziła.

Pędzi i, zapewne, myśli sobie: "Eh, nie — myśli sobie — skoro tu rzucają bomby, to ja tak się nie bawię". I, faktycznie, biegnie z całej siły ulicami miasta. A biegnie tak szybko — jak gdyby ją psy za pięty chwytaly.

Przegalopowała przez całe miasto. Wybiegła na szosę. I pędzi tą szosą precz z miasta. Wiadomo — małpa. To nie człowiek. Nie rozumie: co i jak. Nie widzi racji w pozostawaniu w mieście.

Biegła, biegła i zmęczyła się. Wdrapała się na drzewo. Zjadła muchę dla wzmocnienia organizmu. I parę robaczków. I usnęła na gałęzi, tam, gdzie siedziała.

A w tym czasie przejeżdżał drogą samochód wojskowy. Szofer zobaczył małpę na drzewie. Zdziwił się. Po cichutku podkradł się do niej. Okrył ją swym płaszczem. I posadził w swoim samochodzie. Pomyślał sobie: "Lepiej daruję komuś ze swych znajomych, niż ma tutaj zginąć z głodu, chłodu i innych utrapień". I, faktycznie, pojechał dalej. Już z małpą.

Przyjechał do miasta Borysowa. Wsiadł w swoich sprawach służbowych. A małpiszona zostawił w samochodzie. Powiedział:

— Zaczekaj tu na mnie, pieszcotko. Zaraz wrócę.

Ale nasza małpka nie chciała czekać. Wylazła z samochodu przez stłuczoną szybę i zaczęła spacerować po mieście.

I oto chodzi ona, jak królowa, ulicami, promieniuje, przechadza się, zadarłszy ogon. Publiczność, rozumie się, jest zdziwiona. Chce ją złapać. Ale nie tak to łatwo złapać małpę. Przecież to żywe a zwinne, szybko biegnie na swoich czterech rękach. Więc nie złapano jej a tylko z mordowano bezowocną bieganiną.

Zmęczyła się małpka, sfatygowana, i, rozumie się, zachciało się jej jeść.

A gdzie może się małpa najeść w mieście? Na ulicach przecież nie ma dla niej odpowiedniego do jedzenia. Nie może przecież małpiszon zająć ze swoim ogonem na przykład do jadłodajni. Ani do kooperatywy. Zwłaszcza, że nie nosi ona ze sobą pieniędzy. Ani nie posiada prawa do zniżki. Kartek żywnościowych tej jej nie wydają. Słowem — koszmar.

Lecz mimo to zaszła do pewnej kooperatywy. Wywęszyła, że tam mają coś odpowiedniego. A tam właśnie wydawano ludności jarzyny: marchewkę, brukiew i ogórki.

Wskoczyła do tego sklepu. Widzi: ogromna kolejka. Ale nie: — nie stanęła małpa w ogonku. I nie zaczęła rozpychać ludzi, by dostać się do lady. Wprost po głowach kupujących dobiegła do sprzedawczyni. Wskoczyła na ladę. Nie zapytała ile kosztuje kilo marchwi. A poprostu chwyciła cały pęczek. I, jak to się mówi, tyle ją widziano. Wybiegła ze sklepu zadowolona ze sprawunku. Wiadomo — małpa. Nie rozumie, co i jak. Nie widzi sensu w obywatelstwie się bez aprowizacji.

Rozumie się, w sklepie powstał harmider. Publiczność zaczęła krzyżeć. Sprzedawczyni, ta która ważyła brukiew, omal nie zemdląca z wrażeń. I, faktycznie, można się przestraszyć, gdy nagle, zamiast zwykłego, normalnego klienta, zjawia się coś podobne-

go włochatego. I z ogonem. A jeszcze, na domiar wszystkiego — pieniędzy nie płaci.

Publiczność wypadła za małpą na ulicę. A małpa biegnie i marchewkę zajada. Smakuje. Nie rozumie: co i jak.

I oto pierwsi pędzą chłopcy. Za nimi dorośli. A z tyłu biegnie milicjant i dmucha w swój gwizdek.

I nagle nie wiadomo skąd, zjawia się pies. I ten też pędzi za małpiszonem. A taki przytem bezczelny, że nie tylko szczeka i jazgoce, lecz, jak to pies, usiłuje chwycić małpę swymi zębami.

Nasz małpiszon pobiegł szybciej. Biegnie i, zapewne, myśli sobie: "Eh — myśli sobie — niepotrzebnie wyszłam z zoo. W klatce spokojniej. Koniecznie muszę tam wrócić. Jak tylko się uda".

I oto biegnie małpa z całej siły, a pies nie pozostaje w tyle i lada chwila — a ugryzie ją.

I wówczas nasza małpa wskoczyła na jakiś parkan. A kiedy pies podskoczył, by chwycić małpę bodaj za nogę, ta z całej siły uderzyła go marchewką po głowie. I uderzyła tak mocno, że pies zaskowytał i uciekł do domu wraz ze swym stłuczonym nosem. Zapewne myśląc: "Nie, obywatelu, będę już lepiej leżeć spokojnie w domu, aniżeli łąpać dla was małpy i mieć z tego tytułu takie przykrości".

Krótko mówiąc pies uciekł a nasza małpa zeszkoczyła na podwórze.

A na dziedzińcu tym pewien chłopczyk, wyrostek, niejaki Alosza Popow, rąbał drwa.

Rąbie on właśnie i nagle widzi małpę. A trzeba wiedzieć, że lubił on małpy szalenie. I całe życie marzył o posiadaniu jakiegokolwiek małpeczki. Aż tu raptem — proszę bardzo.

Alosza zdjął ze siebie kurteczkę i tą kurteczką okrył małpkę, która w międzyczasie schowała się pod schodami.

Chłopczyk przyniósł ją do domu. Nakarmił ją. Napoił herbatą. I małpa była bardzo zadowolona. Ale nie zupełnie. A to dlatego, że babunia Aloszy z punktu nie poczuła do niej sympatii.

Nakrzyczyła ona na małpkę i nawet chciała ją uderzyć po łapce. A to dlatego, że gdy pito herbatę i babunia położyła swój ogryziony karmelek na spodeczku, małpa schwyliła babciny karmelek i wpakowała sobie do pyszczka. Wiadomo — małpa. To nie człowiek. Człowiek jeżeli nawet coś weźmie, to przecież nie na oczach babki. A to wprost na oczach. I, faktycznie, omal do łez ją doprowadziła.

Babunia powiedziała:

— Wogóle to nad wyraz nieprzyjemne, gdy w mieszkaniu przebywa podobny pawian ogoniasty. Będzie on mnie teraz straszyć swoim nieludzkim wyglądem. Będzie na mnie skakać w ciemności. Będzie wyjadać moje cukierki. Nie, ja kategorycznie protestuję przeciwko wspólnemu obcowaniu z małpą. Ktoś z pośród nas dwojga winien znajdować się w ogrodzie zoologicznym. Czyż naprawdę konieczne jest, żebym ja się tam przeniósł? Nie, niech już lepiej ona tam będzie. A ja będę nadal egzystować w moim mieszkaniu.

Alosza powiedział babce:

— Nie, babciu, nie musisz przenosić się do ogrodu zoologicznego. Zapewniam cię, że małpka niczego więcej ci nie zje. Wychowam ją jak człowieka. Nauczę ją jeść z łyżeczki. I pić herbatę ze szklanki. Co się zaś tyczy jej skoków, to nie mogę przecież zabronić jej włożenia na lampę, chociażby tę nad stołem. Stamtąd, oczywiście, może ona skoczyć ci na głowę. Ale ty, babciu, przedewszystkiem wtedy się nie bój. Bo to jest tylko nieszkodliwa małpa, przyzwyczajona w Afryce do skoków i koziołków.

Nazajutrz Alosza poszedł do szkoły. I poprosił swą babcię, by doglądała małpy. Ale babcia nie chciała jej pilnować. Pomyślała sobie: "A właśnie będą ja się niańczyć z takim straszylem". I, tak myśląc, babka naumyślnie usiadła w fotelu i zasnęła.

A wtedy nasza małpka wylazła przez otwarty lufcik na ulicę. I powędrowała słoneczną stroną: Nie wiadomo — być może chciała się przejść, ale również, być może, chciała znów zajrzeć do sklepu, by tam sobie coś kupić. Nie za pieniądze, naturalnie, a tak, po prostu.

W tym czasie ulicą szedł pewien staruszek. Inwalida—Gawrylicz. Kierował się on do łaźni. I w rękach niósł niewielki koszyczek z bielizną.

Zobaczył małpę i początkowo oczom swoim nie uwierzył, że widzi małpę. Pomyślał, że tak mu się przywidziało, jako że przedtem wypił kufel piwa.

I oto patrzy on ze zdziwieniem na małpę. A ta patrzy na niego. Być może, myśli sobie: "A cóż to znów za straszylem z koszykiem w ręku?"

Wreszcie Gawrylicz zrozumiał, że to prawdziwa małpa, a nie przywidzenie. I wtedy pomyślał sobie: "Niech ją złapię. Poniosę ją jutro na targ i tam sprzedam za sto rubli. I za te pieniądze wypiję duszkiem dziesięć kufli piwa". I tak myśląc Gawrylicz zaczął łapać małpę, nawołując:

— Kici, kici, kici... chodź tutaj.

Wiedział on wszak, że to nie kot, lecz nie wiedział, w jakim języku trzeba z nią rozmawiać. I dopiero później

zorientował się, że jest to istota wyższego rodzaju z dziedziny świata zwierzęcego. A wtedy wyjął z kieszeni kawałek cukru, pokazał go małpie i powiedział, kłaniając się uprzejmie:

— Małpko-ślicznotko, czy nie życzy sobie pani zjeść kawałek cukru?

Ta mówi: "Proszę bardzo, życzę...". To znaczy, że właściwie nic nie odpowiedziała, ponieważ nie umie mówić. Lecz poprostu podeszła, schwyła ten kawałek cukru i zaczęła go jeść.

Gawrylicz wziął ją na rękę i wsadził do swego koszyka. A w koszyku było ciepło i przytulnie. I nasz małpiszon już z niego nie wyskakiwał. Być może pomyślał sobie: "Niechże to stare próchno niesie mnie w swoim koszyku. To nawet zabawne".

Naprzód Gawrylicz miał zamiar zanieść małpę do domu. Ale później odcieciało mu się wracać. Więc poszedł z małpą do łaźni. Pomyślał: "To nawet lepiej, że wezmę ją do łaźni. Tam ją wykąpię. Będzie czystuśka, przyjemniutka. A na szyi zawiążę jej kordę. I wtedy więcej mi za nią zapłać".

I oto przyszedł on ze swą małpką do łaźni. I zaczął się z nią kąpać.

A w łaźni było bardzo ciepło, gorąco — zupełnie jak w Afryce. I nasza małpeczka ucieszyła się bardzo z takiej gorącej atmosfery. Ale nie zupełnie. Ponieważ Gawrylicz namydlił ją i mydło trafiło do pyszczka. Rozumie się, że to nie jest smaczne, ale już w żadnym wypadku nie na tyle, by krzyżeć, drapać i nie chcieć się myć. A nasz małpiszon zaczął pluć i wówczas mydło wpadło mu do oczu. Wtedy ugryzł on Gawrylicza w palec, wyrwał się z jego rąk i, jak szalony, wyskoczył z łaźni.

Wyskoczyła małpka do ubieralni. I tam wszystkich nastraszyła. Nikt nie zorientował się, że to małpa. Widzą — wyskoczyło coś takiego okrągłego, białego, w pianie. Rzuciło się na kanapę. Później na piec. Z pieca na skrzynię. Ze skrzyni komuś na głowę. I znów na piec.

Niektórzy goście nerwowie zaczęli krzyżeć i wybiegać z łaźni. I nasza małpa również wybiegła. Schodami na dół.

A na dole była kasa z okienkiem. Małpa skoczyła w to okienko, myśląc, że tam będzie spokojniej, i, przedewszystkiem, nie będzie takiego rejwachu, i łtoku. A w kasie siedziała gruba kasjerka, która wrzasnęła i zaczęła się drzeć. I wybiegła z kasy z krzykiem:

— Na pomoc: Zdaje się, że bomba trafiła w moją kasę. Proszę o krople walerjanowe.

Naszej małpce dokuczyły te wrzaski. Wyskoczyła więc z kasy i pobiegła ulicą.

I oto biegnie ona ulicą caluteńka mokra, w pianie mydlanej. A za nią znowu biegną ludzie. Na przedzie chłopcy. Za nimi dorośli. Za dorosłymi milicjant z gwizdkiem. A za milicjantem nasz starowina Gawrylicz, niedbale ubrany, z butami w rękę.

A tu znowu, nie wiadomo skąd, wybiega pies. Ten sam, który wczoraj gonił małpę.

Zobaczywszy go, małpka pomyślała sobie: "Teraz, obywatelu, jestem ostatecznie zgubiona."

Lecz tym razem pies za nią nie pojął. Popatrzył tylko na biegnącą małpę, poczuł silny ból w nosie i nie tylko nie raczył jej gonić, ale nawet odwrócił się. Zapewne pomyślał sobie: "Nosów nie wystarczy do gonitw za małpami". Lecz chociaż się odwrócił, to jednak gniewnie zaszczał, co miało oznaczać: uciekaj, ale wiedz, że ja tu jestem.

A w tym czasie nasz chłopczyk, Alosza Popow, wróciwszy ze szkoły nie zastał w domu swej ukochanej małpki. Bardzo się zmartwił. Nawet łzy napływały mu do oczu. Pomyślał sobie, że pewnie już nigdy więcej nie zobaczy swej dobrej, ubóstwianej małpki.

I oto z nudów i smutku wyszedł on na ulicę. Idzie ulicą melancholijnie. I nagle widzi — biegną ludzie. Początkowo nie zorientował się, że gonią oni jego małpkę. Myślał, że biegną ze względu na alarm lotniczy. Aż tu nagle zobaczył swoją małpkę, mokrą, namydloną. Rzucił się do niej. Chwytał ją na rękę. I przytulił ją do siebie, by jej nikomu nie oddać.

I wtedy wszyscy biegnąc zatrzymali się i otoczyli chłopca.

A tu z tłumu wychodzi nasz dziadzia Gawrylicz. I pokazując wszystkim ugryziony palec, powiada:

— Obywatele, nie pozwólcie temu chłopakowi brać na rękę moją małpę, którą chcę jutro sprzedać na rynku. To moja własna małpa, która ugryzła mnie w palec. Popatrzcie jaki spuchnięty. I to jest dowód, że mówię prawdę.

Alosza Popow mówi:

— Nie, ta małpa nie jest jego, to moja małpa. Patrzcie z jaką radością przyszła do mnie na rękę. I to jest dowód, że mówię prawdę.

A wtedy z tłumu wyszedł jeszcze jeden człowiek — ten sam szofer, który przywiózł małpę w swym samochodzie. I mówi:

— Nie, to nie jest wasza małpa. To moja małpa, ponieważ ją przywiozłem. Ale ja teraz wracam do swego oddziału, i dlatego daruję tę małpę temu, kto tak czule trzyma ją na rękach, a nie temu, kto bezlistnie chce ją sprzedać na rynku w celu pijaństwa. Małpa należy do chłopca.

A wtedy cała publiczność zaczęła

bić brawo. A Alosza Popow, rozpromieniony ze szczęścia, jeszcze mocniej przytulił małpkę. I tryumfalnie poniosł ją do domu.

A Gawrylicz ze swym ugryzionym palcem pokuszył do łaźni, by dokończyć swej kąpeli.

I od tego czasu małpa zamieszkała u Aloszy Popowa. I dotychczas tam mieszka. Niedawno byłem w Boryso-

wie. I specjalnie zaszedłem do Aloszy, by zobaczyć, jak tam też się jej powodzi. A powodzi się jej doskonale. Nigdzie nie ucieka. Nos wyciera chusteczką. Cudzych cukierków nie rusza. Więc babcia teraz jest już bardzo zadowolona, nie złości się na nią i nie ma już zamiaru przenosić się do zoologicznego ogrodu.

Gdy wszedłem do pokoju Aloszy,

małpa siedziała przy stole. Wyglądała tak dostojnie jak kasjerka kinematografu. I zajaadała małą łyżeczką ryżową kaszę.

Alosza powiedział mi:

— Wychowałem ją jak człowieka, i teraz wszystkie dzieci a nawet poniekąd i dorośli mogą z niej brać przykład.

(Tłóm. R. W.)

WIKTOR BUDZYŃSKI

N A W Ę D K Ę . . .

Rybołówstwo rzecz piękna. Ryby i polityka splatają się w historii międzynarodowej w sposób nierozdzielny. Już Mr. Runciman, w okresie kryzysu monarchijskiego, łowił ryby. Już na tragicznym zakręcie historii nieborczyk Chamberlain nie rozstawał się ze swą wędką. Przecież właśnie kolejno Roosevelt i Churchill, Truman i Atlee w przełomowych momentach politycznych jeździli raz w tygodniu na ryby. Rybołówstwo zmusza do koncentracji, pobudza tok myśli...

Właściwie można powiedzieć, że także między pierwszym karpim a drugim szczupakiem powstała Karta Atlantycka. W jednej bodajże tylko Jacie — po połknięciu połowy Europy — podawano odrazu "na zagrychę" gotowy kawior z ryby, bo "generalissimus" do wędkę pociągu nie ma. Jeżeli łowi to odrazu siecią — żeby żadna rybka nie przedostała się poza kratki.

Wolno więc i mnie skromnemu felejtoniście od czasu do czasu wziąć wędkę do ręki, szczególnie wtedy gdy sytuacja międzynarodowa stwarza wyjątkową okazję do łowienia różnych ryb w mętnej wodzie.

Siadam dzisiaj z moją wędką w ręce nad brzegami szeroko rozlanej przede mną prasy krajowej z Polski. Oto czerwona jak rak gruba ryba Pepeerowska: "Głos Ludu" cd której bije zdecydowany zapach. Oto kolorowa pusta płotka, czyli tygodnik satyryczny: "Szpilki", oto wyrafinowana flądra, podszywająca się pod starą firmę "Polski Zbrojnej" i wiele, wiele innych. Czas na łowy! Zarzucam wędkę...

"Szpilki" tygodnik satyryczny z 17 września 1946 zamieszcza rysunek lwa brytyjskiego, który w pazurach trzyma małą figurynkę króla. w koronie na głowie i ciska go na tle mapy z wyspy brytyjskiej do Grecji. Podpis "satyryczny": "Po steroryzowaniu Grecji — na tronie osadzono marionetkowego króla".

Spokojny rybak odpowiada w myślach: "Po wyzwoleniu Polski na tro-

nie osadzono wybranego zgodnie przez cały naród, ukochanego prezydenta Bieruta".

Ten sam tygodnik "Szpilki" w tym samym numerze przynosi sensacyjny wiersz Włodzimierza Słobodnika:

"Te ziemie —
Od wieków Polską były
Tam Polską pachnie od
stuleci
I nie oddadzą ich mogiły
Powstańców-ojców-matek-dzieci!
Mogiły mają wielką władzę
Zaczynać z nimi ja nie radzę!"

Brawo! Nareszcie ktoś odważnie, uczciwie wyrąbał prawdę o Lwowie i Wilnie; o ziemi nowogrodzkiej i o Ziemi Czerwieńskiej. Tak myślicie? Co? Mylicie się drodzy rybacy-czytelnicy. Wiersz Słobodnika nosi tytuł: "List otwarty do pana ministra Byrnesa" i poświęcony jest ziemiom zachodnim, którym grozi straszliwa inwazja amerykańsko-angielska. A kto jest jedynym obrońcą tych ziem? Pan minister Mołotow!

"Głos Ludu" czołowe pismo komunistów w numerze z 17 września 1946 przynosi wywiad przedstawiciela Polskiej Agencji Prasowej z ministrem Mołotowem w Paryżu na temat postanowień konferencji poczdamskiej w sprawie zachodnich granic Polski. Minister Mołotow — jedyny z żyjących autorów "Linji Ribbentrop-Mołotow" (bo drugiego powiesili), obrońca naszych kresów zachodnich tak kończy swój wywiad na temat trwałości postanowień międzynarodowych: "Dlatego właśnie podpisy szefów rządów cieszą się takim wysokim szacunkiem u ludzi, że wszystkim jest znana niezachwiana moc i moralny autorytet postanowień pod którymi widnieją te podpisy".

Niezachwiana moc? Moralny autorytet? Wysoki szacunek dla podpisów? Zapytujemy sami siebie: czy to podpis widniał pod paktem polsko-sowieckim złamanym w dniu 17 września 1939? A czyj podpis widniał na 20 innych złamanych traktatach i sojuszach rosyjskich?

Niezachwiana moc autorytetu mo-

ralnego chwieje się od wysokiego szacunku.

Konferencja poczdamska i jej stenogram nie pozwalają spać publicystom reżymowym w Polsce. W tym samym "Głosie Ludu" pisze niejaki —bardzo niejaki — A. Kubacki: "O tym jak się mamy rządzić, decyduwać będziemy my sami i żadnych pouczeń na temat demokracji nie potrzebujemy..."

Ale wygarnął Kremłowi—myślicie. Weale nie! Kubacki skarcił ministra Bevina za interwencję w sprawie wolnych wyborów w Polsce i repatrjacji.

"Czas najwyższy—pisze Kubacki—aby się przekonano gdzie należy, że od roku 1939 zaszły u nas zmiany niemałe."

Ba! "Zmiany niemałe". Jaka skromność! Mówiąc stylem Słobodnika tam u nas w kraju "pachnie" Rosją. Zapewniamy Kubackiego, że "gdzie należy" przekonano się już o "zmianach niemałych", które zaszły w naszym kraju od 1939 roku. Między innymi np. zaszła ta zmiana, że Kubacki jest czołowym publicystą, a Słobodnik czołowym "satyrykiem". Przypuszczam, zapomniałem: Osóbka jest "premierem", a Litauer—"ambasadorem". Zmiany niemałe...

"Głos Ludu" w numerze 256, przynosi sensacyjną wiadomość o tem jak to wice-wojewoda śląski obywatel Arka Bożek stanął sobie na środku katowickiego rynku i w proroczym uniesieniu ryknął, co następuje:

"Przez z pazurami od naszej ziemi!"

Na środku rynku, w jasny dzień, tak otwarcie rzecz wyłożyć Moskwie w kilku słowach? Dzielnym człowiek—myślicie. Niestety! Arka Bożek rzucił to dramatyczne wyzwanie również pod adresem ministra Byrnesa. Bożek musi coś ryknąć od czasu do czasu na popularną nutę, bo inaczej djabli wezmą całą karjerę, którą tak szczytnie rozpoczął podczas referendum zdradzając niespodziewanie ludźców swoim trzykrotnym: "tak, tak, tak". Za takie usługi dostaje się stanowisko wice-wojewody, czasem generała, czasem "Krzyż Grunwaldu".

Podobno na jego cześć — jak twierdzą złośliwi przybysze z Kraju — miano po wyborach zmienić pierwsze słowa pieśni narodowej „Bożek coś Polskę”. — Jest to prawdziwa — „Arka przysięgi” z Rosją Sowiecką.

To samo pismo pepeerowskie z innej daty przynosi na ostatniej stronie olbrzymie ogłoszenie o „aktualnym dziele, które ukazało się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego p.t. „Podpalacze świata”.

Dzieło zawiera portrety: Hitlera, Goeringa, Himmlera, Ribbentropa, Mussoliniego, Petaina, Laval, Antonescu i Quislinga.

Spokojny rybak myśli: tak łatwo byłoby złożyć kolekcję portretów prawdziwych podpalaczy. Ich nazwiska powtarzają się aż do znudzenia z okazji codziennych obstrukcji na

każdej konferencji międzynarodowej.

Płyn wędko dalej po mętnej wodzie. Na haczyk łapiemy błyszczącą płótkę: „Polska Zbrojna”. W numerze 232 z 28 września udziela porad redakcja: „Kapral S. Cz-ski zadaje pytanie: „Jak wyjechać do Z.S.R.R.?” Redakcja odpowiada: „Należy wnieść podanie do ministerstwa spraw zagranicznych przez wydział zagraniczny Sztabu Generalnego Warszawa, Aleja Stalina 5.”

Drugi panie kapralu Cz-ski. Poco takie ceregiele? Sam adres sztabu mówi za siebie. Stań pan na środku rynku krakowskiego, katowickiego, lub łódzkiego i rąbnij, kapralu, prawdę, którą nosisz schowaną w sercu pod mundurem—a znajdziesz się napewno w Z.S.R.R. Bez ministerstwa spraw zagranicznych i bez sztabu generalnego. I nietylko w Aleji Stalina, ale w samej krainie tegoż. Zapytaj repa-

triantów, czyli „uchodźców” polskich, wracających teraz od czasu do czasu z głębi Rosji a opowiedzą ci napewno jak łatwo i niespodziewanie można wyjechać do Związku Sowieckiego.

„Głos Ludu” z dnia 18 września dla urozmaicenia przynosi nas w egzotycznym reportażu w krainę ludożerców:

„Kraina ludożerców w brazylijskiej puszczy, w okolicach Matto-Grosso, gdzie przepadł słynny pułkownik Fawcett, jest w tej chwili najbardziej tajemniczą krainą na kuli ziemskiej”.

E, czyżby? Znamy krainę, gdzie przepadło bez wieści wielu słynnych pułkowników z których tylko niewielu odnaleziono w grobach w okolicy puszczy pod Katyniem. Ta kraina pobiła dawno rekordy tajemniczości.

„Mogiły mają wielką władzę. Zaczynać z nimi ja nie radzę...”—



Ulica Marszałkowska w dzisiejszej Warszawie

JERZY ANDRZEJEWSKI

P O W R Ó T

FRAGMENT POWIEŚCI "NATCHNIENIE ŚWIATA"

(Ciąg dalszy)

Kilka razy wiatr przycichał, lecz potem zrywał się na nowo i wówczas wysoko w górze, wśród mroku, trzeszczały krokwie dachu. Tam również w górze zaświergotały raz bardzo cichutko wróble. Gdy zaś wiatr nacichał, wyraźnie szło poprzez noc dalekie drżenie i dygotanie gniecionej żelazem ziemi.

Zdrzemnął się nad samem prawie ranem. Spał krótko, lecz mocno. Gdy zbudził się z głową ciężką i oczadziąłą, obu jego towarzyszy już nie było. Niektórzy ludzie także się rozbudzili i sennie i leniwie zbierali swoje matki. Szarzało, a we wsi piał ko-guty.

Wysunął się zatem ze stodoły. Na dworze było zimno i białe od gęstej mgły. Na drodze turkotał jakiś wóz.

Gaszycki odszukał studnię, zmył resztki snu lodowatą wodą i ruszył w dalszą drogę.

Ze względu na dość jeszcze znaczną odległość od Warszawy Gaszycki nie miał większych nadziei, aby udało mu się piechotą dotrzeć tego samego dnia do miasta. Mijały go wprawdzie liczne wozy, lecz tak naładowane ludźmi, iż niepodobna było przysiąść się gdziekolwiek. Za to niepóźnym jeszcze rankiem dowiedział się na drodze, że przechodząca nieopodal wąskotorowa linja kolejki otwockiej jest niezniszczona i aż do Wawra kursują po niej pociągi. Ta wiadomość przełamała w nim znużenie, jakie ogarnęło go na myśl, że nie prędzej niż nazajutrz, znajdzie się w domu. Skręcił z traktu i orjentując się po ludziach pośpiesznie zdążających w tym samym kierunku, na przełaj polami podążył ku najbliższej stacyjce. Był to Świder, który znał jeszcze z jakiejś samochodowej wycieczki z Łulą.

Z początku, typowy dla podwarszawskich w tej okolicy osiedli, leśny piaszczysty krajobraz nie nasunął mu żadnych wspomnień. Dopiero, gdy wybrnął z pomiędzy wątlých sosenek i opustoszałych willi i stanął na skraju szosy, doznał gwałtownego i niespodziewanego wstrząsu. Znajdował się akurat w tem samym miejscu, gdzie przed iluś tam latami zatrzymali się byli z Łulą. Był to dość ostry zakręt szosy. Z jednej strony stał wysoki, ciemny las sosnowy, z drugiej równina przecięta długą i białą smugą drogi, odsłaniała ogromne niebo. Na samym zaś skrawie, oparkaniona ładnym z drucianej siatki płotem, stała wśród sosen duża i płaska, drewniana buda z rozciągniętą i krytą werandą z boku. Przed wojną mieściła się

tam dość modna i znana w ostatnich czasach restauracja podwarszawska. Gaszyckiemu, ledwie znalazł się na szosie, natychmiast przypomniał się dawny, bardzo piękny i upalny wieczór letni, kiedy oboje z Łulą jedli wczesną kolację. Chociaż całkiem jasno było jeszcze na dworze, na werandzie i w ogrodzie, pozawieszane pomiędzy drzewami, paliły się wesołe, kolorowe lampiony. Przy stolikach siedziało dużo kobiet i mężczyzn w jasnych letnich ubraniach, był gwar, śmiechy, przygrywała orkiestra. Przed lokalem, na skraju szosy, stało zaparkowanych kilkanaście limuzyn i sportowych aut. Na brązowo opaleni chłopcy i dziewczęta wracali w kostjumach kąpielowych z nad rzeki. Szli środkiem drogi, parami i większemi grupami, pokrzykując i śpiewając.

Teraz dokoła była pustka i cisza, inne jednak jakoś, niż zwyczajną porą jesienną. Gdy Gaszycki przeszedł na drugą stronę szosy, ujrzał, że siatka parkanu jest w wielu miejscach porwana i postrzępiona. Machinalnie przelał przez jedną z dziur i wszedł do dawnego ogródka. Na zrudziałej, prawie całkiem z trawy ogołoconej ziemi, walały się pszki po konserwach, strzępy jakichś łachmanów, niedopałki papierosów i łuski powstrzelanych pocisków. Mżył drobny deszcz i szumił wysoko wiatr wśród sosen. Gaszycki podszedł bliżej domu.

W kącie werandy leżały na kupę zwalone resztki porąbanych na opał widać stolików i krzesel. Jedna z desek podłogi, na samym środku werandy była strzaskana i widać pod nią było czarną, wilgotną ziemię. Sam zaś dom stał otworem, milejący i wyludniony, z oknami bez szyb, ciemny wewnątrz. Drzwi wejściowe trzymały się na dolnym tylko zawiasie, chwiały się na wydmuchu i skrzypiały. Drewniane ściany poryte były śladami pocisków. W kilku miejscach zwiisały z nich strzępy wielkich, kolorowych plakatów reklamowych. Odgiął jeden z nich i wyprostował: był to barwny afisz wzywający ludność do składania ofiar na t. zw. Fundusz Obrony Narodowej. Z innego plakatu obok wychylała się podziurawiona kulami, zdrowa twarz młodzińca, ukazującego w uśmiechu wspaniałe uzębienie — reklama znanej pasty do zębów. Nie zastanawiając się w jakim celu to robi, po kolei oglądał inne mniej lub więcej uszkodzone plakaty i odczytywał znane sobie dobrze reklamowe skrótty. Nie myślał już

o Luli i spędzonym tutaj z nią kiedyś pięknym wieczorze. Wszystko, co było dawniej aż po chwilę obecną, wydało mu się nagle straszliwie odległe, niepojęte i nierzeczywiste. Nie zastanawiał się nad żadnym konkretnym zdarzeniem, nad żadną pojedynczą chwilą, żadnym przeżyciem. Po prostu cały świat, w którym istniał, usunął się gdzieś daleko w głąb minionego czasu.

Powoli zawrócił ku wyjściu. Już schodził z werandy, gdy na wilgotnej, zlekka omszałej balustradzie, dojrzał malutką, nieruchomo przycupniętą biedronkę. Schylił się i delikatnie przesunął ją sobie na dłoń. Przestraszona nie ruszała się dłuższą chwilę, dopiero gdy podniósł rękę do ust i chuchnął w nią parę razy ciepłym oddechem, biedronka ożyła i zaraz pośpiesznie poczęła wędrować po otwartej dłoni. Gdy doszła do końca wskazującego palca, zatrzymała się na moment, potem rozwinęła drobniutkie skrzydełka i lekko sfrunęła. Natychmiast stracił ją z oczu. Za to goniąc za nią spojrzeniem ujrzał to, czego do tej pory nie dostrzegł był: w głębi ogródka, prawie pod samym parkanem, w miejscu gdzie dawniej stały stoliki, wznosiła się płaska mogiłka z krzyżem drewnianym. Gdy podszedł bliżej, nie znalazł żadnego napisu. Tylko na ziemi pod sosnowym krzyżem leżały trzy, już nieco rdzą pokryte żołnierskie helmy.

Pierwszy bombami zniszczony dom zobaczył Gaszycki na Grochowie, tuż u granic Warszawy. Była to czteropiętrowa kamienica samotnie wznosząca się na tym odległym od miasta odcinku ulicy, zabudowanej parterowymi przeważnie drewniakami. Bomba musiała ją przebić do piwnicy, połowa bowiem domu, od dachu aż po zasypaną gruzem ścienię, była zniszczona, drugie zaś skrzydło z rozluzowaną masą cegieł i belek, z potrząskaną ścianą frontową, pogiętymi balkonami i oknami bez futryn wisiało w powietrzu, lada chwila grożąc runięciem. Tłum wracających do miasta stał na jezdni i w milczeniu przyglądał się ruinie. Nieco dalej ulica na całą swoją szerokość rozzerwana była ogromnym lejem, najbliższe zaś dokoła drewniaki rozplaszczone od podmuchu eksplozji. Wozy ciągnące w stronę miasta musiały w tem miejscu zjeżdżać aż na pole, a ludzie, wszyscy z jakimiś nędznymi tobołkami na plecach, zakurzeni, uszargani w błocie, z twarzami poszarzałymi ze zmęczenia, przesuwali się skrajem wyrwy.

(ciąg dalszy nastąpi)

FRANCISZEK J. WAZETER

ROZMOWY Z POLONJĄ

W zeszłym tygodniu, gdy prasa doniosła, że sowiecka propaganda zaczyna brać udział w... amerykańskiej walce wyborczej i wzywa obywateli amerykańskich do głosowania na kandydatów P. A. C., jeden z przyjaciół zaproponował mi, byśmy razem wysłuchali parę audycji radja sowieckiego.

Przyjęcie tej propozycji kosztowało mnie prawie bezsenność noc z poniedziałku na wtorek, ale muszę przyznać, że nie żałuję, bo dowiedzieliśmy się wielu bardzo ciekawych rzeczy. Od dwunastej w nocy do drugiej trzydzieści rano wysłuchaliśmy po kolei szeregu audycji z Moskwy, Kijowa i Leningradu.

Stacja moskiewska (była wtedy w Moskwie ósma rano) nadawała pogadankę o kolchozach ta znaczy rządowych gospodarstwach rolnych w Rosji. Mówca zaczął od stwierdzenia, że kolchozy są podstawą życia i potęgą sowieckiej oraz fundamentem ustroju komunistycznego. Tylko w kolchozach — mówił on — chłopci mogą znaleźć dobrobyt i szczęście. I byłiby chłopcy wszyscy, pracujący w kolchozach szczęśliwi i zadowoleni, gdyby administracja i członkowie kolchozów ściśle przestrzegali "stalinowskich zasad" pracy i gospodarki. Niestety — i tutaj agitator z radja moskiewskiego od razu spadł z obłoków komunistycznej frazeologii w bagienko rzeczywistości sowieckiej — niestety, w olbrzymiej ilości kolchozów dzieje się źle. Chłopcy sowieccy nie przestrzegają zasad ojca narodu Stalina, "kolchożne dobro" jest rozgrabiane i niszczone, chłopcy biorą na własną egoistyczną potrzebę nie tylko "zwierzęta i ziarno kolchożne ale w wielu wypadkach... wydzielają sobie ziemie..."

"Kto temu jest winien?" — Naturalnie, że "nieuświadomienie mas chłopskich", ale przede wszystkim administracja kolchozów. Temu "niszczeniu podstaw ustroju komunistycznego" musi być położony kres. Do "najsurowszej odpowiedzialności" zostaną pociągnięci nie tylko kierownicy kolchozów, ale także "zarządy okręgowe i inspektoraty"... Sanacja przyjdzie równocześnie od góry i od dołu, ponieważ bez względu na ofiary "stalinowskie zasady" muszą być zrealizowane stuprocentowo.

Słuchając moskiewskiej pogadanki o kolchozach, zrozumiałem jakie jest tło owej agitacyjnej "czystki", którą rząd sowiecki przeprowadza od kilku miesięcy na całym obszarze swego imperjum. W Sowietach istnieją bowiem tylko dwie warstwy ludności. Jedną to biurokracja partyjna, administra-

cyjna, wojskowa i N. K. W. D. Ta klasa ma monopol władzy i własności i reprezentuje najwyżej trzy do czterech procent ludności. Drugą klasę stanowi dziewięćdziesiąt sześć procent ludności. — Są to niewolnicy. Są to niewolnicy w najbezwzględniejszy sposób wyzyskiwani, sterylizowani, pozbawieni wszelkich praw obywatelskich, prawa posiadania czegośkolwiek, prawa strajku, prawa skargi, wolności słowa i sumienia...

Ta olbrzymia maszynierja wyzysku i niewoli może istnieć tylko dzięki rpecajalnemu systemowi teroru. Regularnie co pewien czas dokonywane "czystki", których ofiarą padają setki tysięcy ludzi mają na celu utrzymywanie całej ludności w nieustannym strachu, bez którego zrozpaczone nędzą i niewolą masy dawnoby już zniosły z powierzchni swych ciemieców.

Te wszystkie "czystki" dowodzą, że mimo strasznego teroru, w masach rosyjskich budzi się duch protestu, opozycji i buntu, co sfery rządzące na Kremlu napawa wielkim niepokojem. I dlatego rząd sowiecki, z jednej strony dławiąc bezlitośnie każdy odruch niezadowolenia, czy krytyki, z drugiej strony za pomocą propagandy prasowej i radjowej chce zmówić w swych niewolników, że wszędzie na świecie panuje chaos, rozprężenie, głód, bezrobocie i strajki i że wobec tego prestige Sowietów w społeczeństwach zachodnich rośnie z dniem każdym.

Obraz wewnętrznej sytuacji w Stanach Zjednoczonych, roztoczony przez stację radjową w Kijowie, był wręcz rozpaczliwy. Słuchaliśmy tych bzdur, śmiejąc się serdecznie, ale później zdaliśmy sobie sprawę, że słuchacz rosyjski, hermetycznie odcięty od wszelkich obiektywnych wiadomości jest zdany wyłącznie na te kłamstwa i nonsensy. Słyszeliśmy naprzykład, jak

speaker stacji Leningrad podał w reportarzu z N. Jorku, że Mołotowa, przybyłego na zebranie UNO tłumy obywateli amerykańskich (masy naroda) witały entuzjastycznie na ulicach Nowego Jorku.

Kłamstwo to jest tylko jednym z licznych przykładów okłamywania opinii rosyjskiej banialukami o "rewolucyjnej atmosferze" w Stanach Zjednoczonych. Owe "tłumy", które rzekomo tak owacyjnie witały Mołotowa, miały być dowodem głębokich sympatji narodu amerykańskiego dla rewolucji bolszewickiej. Agitatorzy sowieccy starają się przekonać masy rosyjskie, iż Ameryka stoi właśnie w przededniu wielkiego wstrząsu społecznego, któremu przeciwstawiają się tylko "grupki plutokratów, faszystów i reakcjonistów". Chodzi, rzecz jasna, o to, by słuchacza sowieckiego przekonać, iż niedaleki jest już tryumf dyktatury komunistycznej w całym świecie, wobec czego nonsensem byłoby przeciwstawiać się tej dyktaturze w Rosji..

Ukoronowaniem jednak audycji sowieckich, wysłuchanych w zeszłym tygodniu była propaganda moskiewskiej stacji radjowej o obecnej sytuacji politycznej w Ameryce. Cała ta pogadanka była jednym, wściekłym i niczym nieusprawiedliwionym atakiem na senatora Vandenberg, jako jednego z filarów antysowieckiej "reakcji" w Stanach Zjednoczonych. Co jednak jest najciekawsze, to fakt, iż dodając swe własne wyzwiska i złorzeczenia, speaker radja moskiewskiego zwalczał Vandenberg za pomocą cytowania słów pani... Eleonory Roosevelt...

Czy to jest przyjemne dla wdowy po zmarłym Prezydencie, to inna rzecz. Faktem jest jednak, że propaganda sowiecka, nie szczędząc pochwał i komplementów pod adresem pani Eleonory Roosevelt, korzysta z jej wystąpień pisarskich i oratorskich, by zwalczać samoobronę amerykańską przed ofensywą totalistycznego komunizmu i w rezultacie wychodzi na to, iż Moskwa chce nam dyktować nie tylko politykę zagraniczną, ale także sposób postępowania w naszym wewnętrznym życiu politycznym...

Tu jednak, bolszewicy tak djabelsko sprytni w swych kalkulacjach politycznych — przeliczyli się... W świetle ich ostatnich bezcelnych prób interwencji w wewnętrzne sprawy Stanów Zjednoczonych tem jaśniej zarysowuje się przed opinią amerykańską właściwa i jedyna droga postępowania..

W POPRZEDNIM 42 (199) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Ryszard Wraga: Gdy mała staje się symbolem rewolucji; Hermiņa Naglerowa: Wspomnienie o łączniczce Annie; Janusz Laskowski: Wyrok; Czesław Bednarczyk: Wenecja; Jerzy Andrzejewski: Powrót; Franciszek J. Wazeter: Rozmowy z Polonią; Tydzień Polityczny; Kronika polsko amerykańska; Opinie i zdarzenia.

OPINIE I ZDARZENIA

PASZKWIŁ FILMOWY NA POLSKĘ

Bardzo zły i bardzo paskudny film krótkometrażowy o Polsce, wyprodukowany przez pana Cękałskiego wyświetlany jest teraz w kinach nowojorskich. Gdyby nie był tak nędznie skłębony, tak pczbawiony jakichkolwiek zalet filmowych i jeszcze pogorszony przez nudną, smutną i chrapliwą ilustrację muzyczną, należałoby zaprotestować bardzo stanowczo przeciwko tej filmowej napaści na Polskę. Ponieważ jednak publiczność nowojorska reaguje na to paskudstwo wygodną drzemką — nie powinniśmy zakłócać jej tej przyjemności. Dlatego też stwierdzić możemy beznamietnie że ów preparat pana Cękałskiego robiony jest według klasycznych recept NKWD i Bezpieki, nakazujących szkolenie przedbierutowskiej Polski jako kraju, który ciemiężył chłopów, gnębił mniejszości i przez to przegrał kampanję wrześniową. Od czcicieli „marszałka” Żymierskiego i współpracowników znakomitego plagiatora Rzymowskiego nie będziemy oczywiście wymagali tej delikatności aby nie nazywali Rydza Śmigłego polskim Petainem. Można tak czy inaczej oceniać rolę polityczną Śmigłego, jego talenty strategiczne i nawet surowo potępić jego wyjazd do Rumunii — faktem jest jednak że Śmigły, bohater legjonowy i doskonały wódz z roku 1920 nie poszedł ani na kapitulację, ani na kolaborację i powróciłszy do okupowanego kraju tam umarł. Ale oczywiście kto kłania się nisko Żymierskiemu, skazańcowi za zwykłe przestępstwo kryminalne, nie będzie się takimi skrupułami względem pamięci nieszczęśliwego Polaka krępował. Co nas szczególnie niemile w tym filmie zaskakuje to nazwisko Jerzego Fitelberga jako autora ilustracji muzycznej. Co prawda jest ona okropna i znakomicie przyczynia się do jego kłapy — ale napewno nie była ona ze strony Fitelberga żadnym wallenrodzmem. Prostu zamówili, zapłacili, to i „wziął udział”.

WSPOMNIENIA AMBASADORA NOELA

Ambasador Noel, który reprezentował Francję w Warszawie w latach 1935-1939 poczym był akredytowany przy prezydencie Raczkiewicz w Angers, napisał i wydał u Flammariona 5 stronicyw tom wspomnień swoich z tych czasów pt. „L'agression allemande contre la Pologne”. Książka ta jest ważna i poważna, gdyż ambasador Noel należał do tych jakże rzadkich dziś w świecie dyplomatów, którzy mają własne zdanie i nie tylko

mieli odwagę je głosić ale również starali się według niego prowadzić politykę, walcząc nieraz zarówno z rządem przy którym byli akredytowani jak i z własnym. Zgóry należy powiedzieć, że p. Noel nie chciał nigdy uchodzić za specjalnego przyjaciela Polski i chciał tylko według najlepszego swego rozumienia bronić spraw Francji, przekonany że jej interesy i interesy Polski, nie będąc identyczne, są w wielu wypadkach wspólne. W tym przekonaniu pan Noel walczył z ministrem Beckiem, uważając że on tę zbieżność lekceważy, cała też książka jest właściwie wielką rozprawą polemiczną ze zmarłym polskim ministrem, który, zdaniem pana Noela nie doceniał niebezpieczeństwa niemieckiego i przeceniał siły Polski. Jest rzeczą niezbędną aby ci, którzy tę politykę dobrze znali, byli wprowadzeni w jej motywy i kulisy a więc przedewszystkiem ambasadorzy Lipski i Łukasiewicz, odpowiedzieli na zarzuty i opinie pana Noela, gdyż niewątpliwie staną się one podstawą sądów niejako historycznych. Na dobro autora książki trzeba powiedzieć, że żadne względy drugorzędne a zwłaszcza osobiste nie kierują temi sądami i nawet charakterystyka tak surowo zwalczanego przez niego Józefa Becka jest pełna nie tylko kurtuazji ale zarazem głębokiego uznania dla jego istotnych zalet. Co też sympatycznie usposabia dla autora — to szczerść jego w przyznawaniu się do porażek — pan Noel mówi otwarcie i beznamietnie o wszystkich zwycięstwach nad jego koncepcjami nie tylko jego szefów ale nawet ambasadora Łukasiewicza, który dwukrotnie paraliżował bardzo miśsterne posunięcia p. Noela. Ponieważ autor nie zdradza się ze specjalną sympatją do Polski — to dobre co o nas mówi brzmi tem szczerzej i wymowniej, jak np. bardzo gorące i nieraz wzruszające pochwały bohaterstwa naszego narodu i pełnej godności jego postawy od pierwszej chwili konfliktu polsko-niemieckiego. Słowem jak powiedzieliśmy: książka bardzo ciekawa, udokumentowana, poważna i wymagająca ze strony polskiej poważnej dyskusji.

PORUCZNIK HERBERT KOLABORUJE

Wśród wojskowych polskich, którzy powrócili z Anglii do Polski znalazł się też znany pisarz-lotnik, porucznik Janusz Meissner, autor „Żądła Genowefy” i szeregu epowiańd lotniczych wydanych pod pseudonimem: porucznik Herbert. Ciekawi, co zrozumiałe, reakcji naszych rodaków na zetknięcie z krajem, dowiadujemy się ze smutkiem, że por. Herbert poświęcił

się t. zw. kollaboracji literackiej, to znaczy pisaniu tego co podoba się ambasadzie sowieckiej i jej polskim podwładnym. Feljton pana Meissnera w „Przekroju” mówi o straszliwym jakoby upadku moralnym i zacofaniu Anglii, która oczywiście nie zasłużyła sobie niczem na polską wdzięczność, ale której nie godzi się mieszać z błotem, odmawiając jej wszelkich zalet, skoro jednocześnie pokrywa się milczeniem (choćby z konieczności) wszystkie zbrodnie i chamstwa moskiewskie i bierutowskie. Pan Meissner, jak się okazuje, doskonale przystosował się przez dobór naturalny do tej falangi drugo i trzeciorzędnych pisarzy polskich, którzy pod hasłami obrony ludu i miłości do ludu prowadzą robotę przeciw ludowi i najbardziej mu nie nawistną. Pan Meissner jest jeszcze dosyć młody i prawdopodobnie doczeka się chwili kiedy naprawdę demokratyczna Polska powie swobodnie co myśli o różnicy między kulturą angielską a chamstwem sowieckim i prosowieckim i o pisarzach, którzy tej różnicy nie widzą albo udają że nie widzą.

CO CZYTAJĄ W POLSCE

Ankieta przeprowadzona na jesieni zeszłego roku wśród uczniów krakowskim szkół średnich przez Instytut Badania Czytelnictwa dała następujące wyniki. Najulubieńszymi autorami okazali się: Sienkiewicz (87 procent wszystkich odpowiedzi), Prus (46.2 procent), Mickiewicz (41 procent), Rodziewiczówna (36.7 procent), Kraszewski (25.5 procent). Wśród książek największą ilość głosów uzyskały kolejno „Trylogja”, „Krzyżacy”, „Quo Vadis”, „Pan Tadeusz”, w „Pustyni i w puszczy”, „Stara Baśń”, „Dewajtis”, „Placówka”, „Faraon”, „Nad Niemnem”, „Lalka”.

MAŁCUŻYŃSKI W KINIE

Jak donosi prasa nowojorska, Wiltold Małcużyński będzie niedługo robił próbne zdjęcia do filmu Borysa Morrosa „Życie Liszta”, w którym, jeśli próby się powiedą, grać będzie rolę tytułową. Obecnie Małcużyński nagrywa muzykę do filmu „Deception” z Bette Davis.

NAJLEPSZA NAGRODA

Jeden z wielkich, z przed rewolucji adwokatów moskiewskich wygrał bardzo trudny proces. Jego klient dziękuje mu i mówi: „Ach mecenasie! Doprawdy nie wiem jak Panu mam podziękować!”

Na co ów adwokat: „Od czasów kiedy Fenicjanie wynaleźli znaki pieniężne, pańskie wątpliwości są zupełnie niezrozumiałe”.

W kilku słowach

Z POLSKI

PROPAGANDA KOMUNISTYCZNA szczególnie uwagę zwraca na młodzież, a przede wszystkim na "wychowywanie" dzieci w duchu obowiązującym w Polsce oficjalnej. Celowi temu służyć ma szkoła ze swymi "nowoczesnymi" podręcznikami historii i literatury, organizacje młodzieżowe, którym narzuca się troskliwie opracowane programy i statuty, książki, czytając od elementarza, nawet prasa, która z reguły wydaje wszelkiego rodzaju dodatki dla małoletnich.

Weźmy dla przykładu "Przyjaciela Dzieci", redagowanego przez reżymowe pismo "Robotnik". Wśród niewinnych wierszyków, opowiadań i bajek spotykamy co krok "smakowite" rodzynki. Więc wruszający obrazek p. t. "Ostatni dzień w szkole", gdzie Stach, wracający z doskonałą cenzurką do domu, marzy, mały aniołek, o tem, jak "zapisze się do organizacji dla młodzieży TUR" i pojedzie wraz z innymi małymi komsomolcami na obóz. Więc moc ciekawostek z życia Związku Radzieckiego, gdzie dokonywa się największych na świecie osiągnięć w każdej dziedzinie i gdzie "każde dziecko myśli z litością o swych biednych rówieśnikach w krajach kapitałistycznych". Więc rebus, iatwiutki, którego rozwiązanie brzmi "Moskwa"...

O ZIEMIACH ODZYSKANYCH, o stosunkach, jakie tam panują z winy niedociągnięć władz, a zwłaszcza o ciężkim losie repatriowanych na zachód z poza "linji Curzona", pisze szczerze krakowski "Dziennik Polski":

"Nie chciałbym nadużywać mocnych określeń, ale z całą najdalej posuniętą obiektywnością muszę stwierdzić: to nie etap dla Polaków — to skandal! Brud, smród, wszelkie braki i często — fatalne obchodzenie się z repatriantami.

Obywatele! A może by już czas nadszedł, aby Polak ze wschodu, brat nasz, krew z krwi naszej, nie tułał się jak pies bezdomny.

Zobaczcie matki z małymi dziećmi, wdowy po żołnierzach poległych za Ojczyznę, lub po męczennikach, pomordowanych przez gestapo. Przyrzycie się dzieciom, które giną z braku stońca, wody, pokarmu, opieki!"

W WOJ. KRAKOWSKIM rozpoczęto wielką "czystkę" wśród urzędników administracji państwowej, z których, jak stwierdzono, ogromna ilość popiera wystąpienia "reakcji" i "wrogów ludu", a nawet współdziałała "z bandami leśnymi".

50 BUDYNKÓW w Warszawie ma być odbudowanych kosztem 50 miast amerykańskich.

Z OBOZÓW POLSKICH W NIEMCZECH

NA TERENIE BAWARJI życie niektórych grup uchodźców i instytucje polskie napotykają ostatnio na znaczne utrudnienia, które się nie dadzą niczem wytłumaczyć. I tak:

1. Kierownik ekspozytury P.C.K. z Londynu nie otrzymał ani mieszkania ani też lokalu na biuro, pomimo że niemiecki urząd mieszkaniowy odpowiednio lokale dwukrotnie przydzielał. Odmowa wyszła z szefostwa Mil. Gov.

2. Mimo obietnic dyrektora UNRRA na strefę amerykańską, że więźniowie polityczni niemieckich obozów koncentracyjnych różnych narodowości zamieszkali w Monachjum i okolicy otrzymają do przydziałów z kartek niemieckich dodatek 500 kalorii dziennie, dotychczas tego nie wykonano. Otrzymują oni jako prześladowani niegdyś członkowie Narodów Zjednoczonych 1,550 kal. a SS-mani w obozach około 2,200 kal. dziennie. Podobnie wygląda sprawa z zaopatrzeniem w ubranie i obuwiu.

3. W lipcu b. r. zawieszono działalność Międzynarodowego Związku b. Więźniów Politycznych niemieckich obozów koncentracyjnych CIDP i Polski Związek b. Więźniów Politycznych, liczące w tej strefie ogółem 10 tys. członków, w tem Polaków 7 tys., motywując ten krok niezatwierdzeniem ich statutów. Mimo korzystnych opinii o konieczności działania obu związków nie mogą one legalnie pracować i chronić swych członków i ich żywotnych interesów.

Tak więc gdy się zakłada komitety ochrony uchodźców i gdy padają piękne słowa o szlachetnem wobec nich postępowaniu u dołu, oddaje się ich sprawy w ręce policji niemieckiej lub też w inny sposób utrudnia się im życie, traktując jak natrętnych żebraków lub ludzi bez osobistej i narodowej godności. A przecież wystarczyłoby trochę zrozumienia i dobrej woli.

Przez dziwaczny podział Polaków w jednym z obwodów UNRRA w Bawarii na 4 grupy: z za Bugu, z przed

Bugu, "kacetowców" i "intelektualistów" rozbito zupełnie polskie skupiska i zniszczono życie kulturalne wysiedleńców. Nastąpiło to na polecenie Rady Naczelnej UNRRA.

LISTY DO REDAKCJI

10 października, 1946 r.

W tych dniach kończy się moja pierwsza kwartalna prenumerata "Tygodnika Polskiego". W załączeniu przesyłam należność za prenumeratę za kwartał następny, z prośbą o dalsze przysyłanie mi "Tygodnika", który stał się dla mnie i żony mojej prawdziwym przyjacielem, wyczekiwany niecierpliwie, od czasu naszego przyjazdu do Ameryki — co tydzień.

Życząc "Tygodnikowi Polskiemu" dalszego rozwoju

pozostaję z poważaniem
Andrzej Pleszczyński
5702 Cabanne Ave., St. Louis, Mo.

KORESPONDENCJĘ Z POLONJĄ NAWIĄZAĆ PRAGNĄ

BALA TADEUSZ I LIGEZA MAREK (Shury Camps, Nr. Haverhill, Cambridge, England), podchorążowie wojsk pancernych II Korpusu, pragną nawiązać korespondencję z Rodaczkami z za oceanu. Mogą ją prowadzić również i w języku angielskim.

KASPROWICZ JAN, (Polish Forces, U. K. 423, England), żołnierz II Korpusu, który w Polsce stracił całą rodzinę. Pragnie korespondować z kimś z Nowego Jorku.

SZUKAJĄ WAS — ODEZWIJCIE SIĘ!

HUDAK M., poszukuje stryja swego, Józefa Hudaka, który wyemigrował do Stanów. Informacje skierować należy pod adres: Miss Sylvia Barkworth, Holly Cottage, West Chilton, N. Pulborough, Sussex, England.

POGORZELSKA IRENA, (346 E 134 St., Bronx, N. Y.) poszukuje 1. Stanisława, Józefa i Annę Szubertów, mających przebywać w Nowym Jorku, 2. Kiernickiego Adolfa, Winnipeg, Canada.

JEŻELI CHCECIE:

BY wysyłane przez Was paczki do rodzin w Europie szybko dochodziły

BYŚCIE otrzymali równie szybko potwierdzenie odbioru i podziękowanie.

BY paczki doszły w stanie nienaruszonym, odrutowane i ubezpieczone

Wysyłajcie je za pośrednictwem

AMERICAN RELIEF PARCEL COMP.

152 W. 103 STREET, N. Y. C.

Tel. RI 9-2204

Zwróćcie się natychmiast o cenniki i informacje.